

36
dni

Śladami prawosławia

Nadeszło lato, czas wycieczek rowerowych bliższych i dalszych. Od dłuższego czasu planowaliśmy z Joachimem i Pawłem naszą najdłuższą dotąd wyprawę, w stronę półwyspu Peloponez. Żeby było ciekawiej, postanowiliśmy przejechać kraje prawosławne, nazywając naszą eskapadę: śladami prawosławia.

Tekst i zdjęcia **Jakub Rybicki**



Zaręczam jednak, że po drodze oglądaliśmy nie tylko cerkwie. Wyprawa miała zatem prowadzić przez Ukrainę, Rumunię, Bułgarię, Macedonię, Albanie (wyjątek od prawosławnej reguły, ale żal się nie zatrzymać) i Grecję. Na trasę liczącą 3000 kilometrów przeznaczaliśmy miesiąc z tygodniowym okładem. Jednak nie wszystko poszło zgodnie z planem...

Piękne plany pokrzyżowała nieco moja praca magisterska. Pod jej zgubnym wpływem zdecydowałem się na spontaniczny wyjazd na Krym, byle dalej od niej. Nie zorientowałem się jednak, że pokrywał się on ze startem wyprawy. Wszystko przez to, że skupiałem się głównie na pisaniu... Joachim i Wi-cher (tak potocznie nazywamy Paw-

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaaaa
aaaa

ła, z racji zawrotnych prędkości, jakie osiąga na zjazdach) nie bez racji nie zgodzili się uelastyczyć daty wyjazdu. Cóż było robić – zaraz po powrocie z Ukrainy musiałem wracać... na Ukrainę.

Ukraina – trudne początki

Ten karkołomny manewr kosztował mnie cztery dni straty w porównaniu z kolegami. W Przemyślu rozpocząłem szaleńczą gonitwę. Oczywiście, ledwo co przekroczyłem rogatki miasta, niczym w tanim filmie spadł ulewny deszcz. Niezrażony, pedałowałem dzielnie po księżycowych drogach zachodnich rubieży Ukrainy. Księżycowych, bo usłanych gęsto mniejszymi i większymi kraterami. Jazda po nich przypominała bardziej slalom gigant, a zjazdy wymagały kwalifikacji kierowcy

rajowego. Przy dużej prędkości każda dziura może oznaczać kraknę stulecia.

Ukraina to bardzo ciekawy kraj, a stosunek jej mieszkańców do otaczającego świata jest często cudownie stoicki. Gdy przedzierałem się przez wyjątkowo, nawet jak na tamtejsze standardy, zniszczony odcinek czegoś, co za czasów radzieckich zapewne było asfaltem, minął mnie duży peugeot. Po chwili jednak zwolnił, dostosowując się do mojego tempa, najwyraźniej w trosce o zawieszenie. W pewnym momencie z auta wyskoczył pies. Jechaliśmy tak przez kilka kilometrów, pokrzykując do siebie wesoło. Ja zadowolony, że mam z kim pogadać, kierowca, że ma wieczorny spacer z głowy, a najbardziej pies, który jednak dostał po kilku kilometrach

zadzyszki i wskoczył z powrotem do samochodu.

Tak to goniłem radośnie przyjaciół, którzy wcale nie zamierzali jechać wolniej, niż mieli to w planach. 150 kilometrów dziennie robiło swoje i nie miałem ani chęci, ani sił na poważniejsze zwiedzanie. Niemniej jednak nie oparłem się pokusie dokładniejszego spenetrowania Drohobycza z ogromną, choć rozlatującą się synagogą w Iwano-Frankiwsku (dawnymi czasy zwanym Stanisławowem), który sprawia wrażenie najbogatszego miasta zachodniej Ukrainy, oraz uroczych, pagórkowatych Czerniowców. Wspomnę też, że w przydrożnym barze próbowano otruć mnie zepsutym czeburikiem (rodzaj pierożka z mięsem, którego nadzienie bynajmniej nie powinno być zielone i pachnieć niezbyt zachęcająco), a były mistrz ZSRR w gimnastyce sportowej ugaskał mnie wódką. W końcu, po trzech dniach, przekroczyłem granicę z Rumunią.

Rumunia – nie tylko psy nie mają co jeść

Po kolejnym dniu ostrej jazdy wreszcie dogoniłem moich uciekinierów. Spotkanie uczciliśmy wizytą w restauracji, gdzie przeżyłem pierwsze kulinarne objawienie podróży: ciorbă de burtă. Jest to coś w rodzaju zabielenego bulionu z falczkami, podawanego z ostrą papryczką, sosem czosnkowym i oliwą. Ważne – sos czosnkowy jest niezbędnym i kluczowym elementem dania. Później wielokrotnie zamawiałem ten przysmak, jednak bez sosu czosnkowego była to po prostu zupa, jakich wiele. Z sosem – poezja!

Ruszyliśmy na północ, trochę nadrabiając drogi, ale bardzo zależało nam na przejechaniu Siedmiogrodu. Nie zawiedliśmy się. Fantastyczne pejzaże, majestatyczne zamki (bynajmniej nie Drakuli), ufortyfikowane kościoły... i pyszne ciasta w kształcie dużej rury, które hurtowo sprzedawały przy drogach babacie. Niewiele rozumieliśmy z rumuńskiego, ale jedno wyrażenie poznaliśmy już pierwszego dnia: „Drum bun”, czyli „dobrej drogi”. Ukuliśmy nawet przyśpiewkę: ▶

W PIGUŁCE

- **Trasa** – Przemyśl (start)
Ukraina: Sambor (Самбір) > Drohobycz (Дрогобич) > Iwano-Frankiwsk (Івано-Франківськ) > Czerniowce (Чернівці)
Rumunia: Suczawa (Suceava) > Miercurea-Ciuc > Braşów (Braşov) > Târgovişte > Bukareszt (Bucureşti)
Bułgaria: Ruse (Русе) > Biała (Бяла) > Wielkie Tyrnowo (Велико Търново) > Gabrowo (Габрово) > Trojan (Троян) > Sofia (София) > Kiustendil (Кюстендил)
Macedonia: Kumanowo (Куманово) > Skopje (Скопје) > Tetowo (Тетово) > Ochryda (Ohrid)
Albania: Elbasan > Kuczowa (Кучова) > Berat (Берат) > Gjirokastra (Gjirokastër)
Grecja: Janina (Ιωάννινα) > Arta (Άρτα) > Patras (Πάτρα) > Delfy (Δελφοί Delfoi) > Ateny (Αθήνα)
- **Dystans** – 3000 km
- **Średnio dziennie** – 100 km
- **Koszty** – przelot samolotem Ateny – Warszawa z rowerem to ok. 400 zł. Pozostałe koszty wyprawy to mniej niż 1000 zł.
- **Porady**
Ukraina – fatalne drogi, ale za to z ludźmi łatwo się dogadać. Uwaga na nieświeże mięso.
Rumunia – szukajmy jedzenia w karczmach. Polecam zupę ciorbă de burtă. Uwaga na psy!
Bułgaria – piękne dziewczęta, owoce rosnące przy drodze, przyjaźni ludzie. Coś na kształt raj, tylko dlaczego cały czas pod górkę?
Macedonia – tutaj dla odmiany z górki. Nikt nie mówi po angielsku, ale nie przeszkadza to w kontaktach. Pokrętna sytuacja z kręceniem głową – w odróżnieniu od Bułgarii i Albanii przytaknięcie oznacza, jak u nas – „tak”, ale jeśli trafimy na Albańczyka (których w Macedonii jest prawie tyle, co ludzi innej narodowości), może być odwrotnie. Policja nie przegania rowerzystów z autostrady.
Albania – pełno bunkrów, główne drogi w dobrym stanie, ale nie polecamy zbacać w mniejsze. Egzotyka w środku Europy, umiarkowane ceny, sporo śmieci. Strzelają z karabinów na weselach.
Grecja – droga. Polecamy szukać Lidla. Nie mówią po angielsku. Jeżeli planujemy spać pod chmurką, to pompowane maty nie są najlepszym pomysłem (wszędzie pełno cierni, tradycyjne karimaty dają radę).

MARIUSZ MANIET/MAC MAP



„Drum bun, drum bun, powie ci to każdy Rumun!”. Ludzie rzeczywiście bardzo przyjaźni i otwarci, na każdym kroku życzyli nam pomyślnej podróży, chociaż niewiele poza tym byliśmy w stanie zrozumieć.

Długo by się rozpisywać o atrakcjach, które dane nam było zobaczyć po drodze. Zdradzę tylko, że Braşów pozostawia niezapomniane wrażenie, w jak najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu, natomiast Bukareszt... jest miastem wielce specyficznym, nie mylić z pięknym. Największe wrażenie zrobiły na mnie zabytkowe, kilkusetletnie cerkwie, skrzętnie ukryte między ogromnymi blokami. Ceauşescu nie zburzył wprawdzie

większości świątyń, natomiast zostały one nieraz w groteskowy sposób poprzesuswane (dosłownie) między nowe budynki, bardziej przystające do komunistycznych ideałów.

Kolejne spostrzeżenie dotyczące jedzenia. W Rumunii nie jest ono – wbrew pozorom – tak łatwe do zdobycia. Tego, że cafe nie gwarantuje obecności dań obiadowych, akurat się domyślaliśmy. W barach też podają tylko alkohol – to już nas nieco zdziwiło. Szokiem była wizyta w pizzerii, gdzie pizzy wprawdzie nie mieli, ale... mogliśmy się czegoś napić. Gdy okazało się, że połowa restauracji nie miała jedzenia w ofercie, zdenerwowanie dało znać o sobie. Metodą licznych prób i błędów

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaa

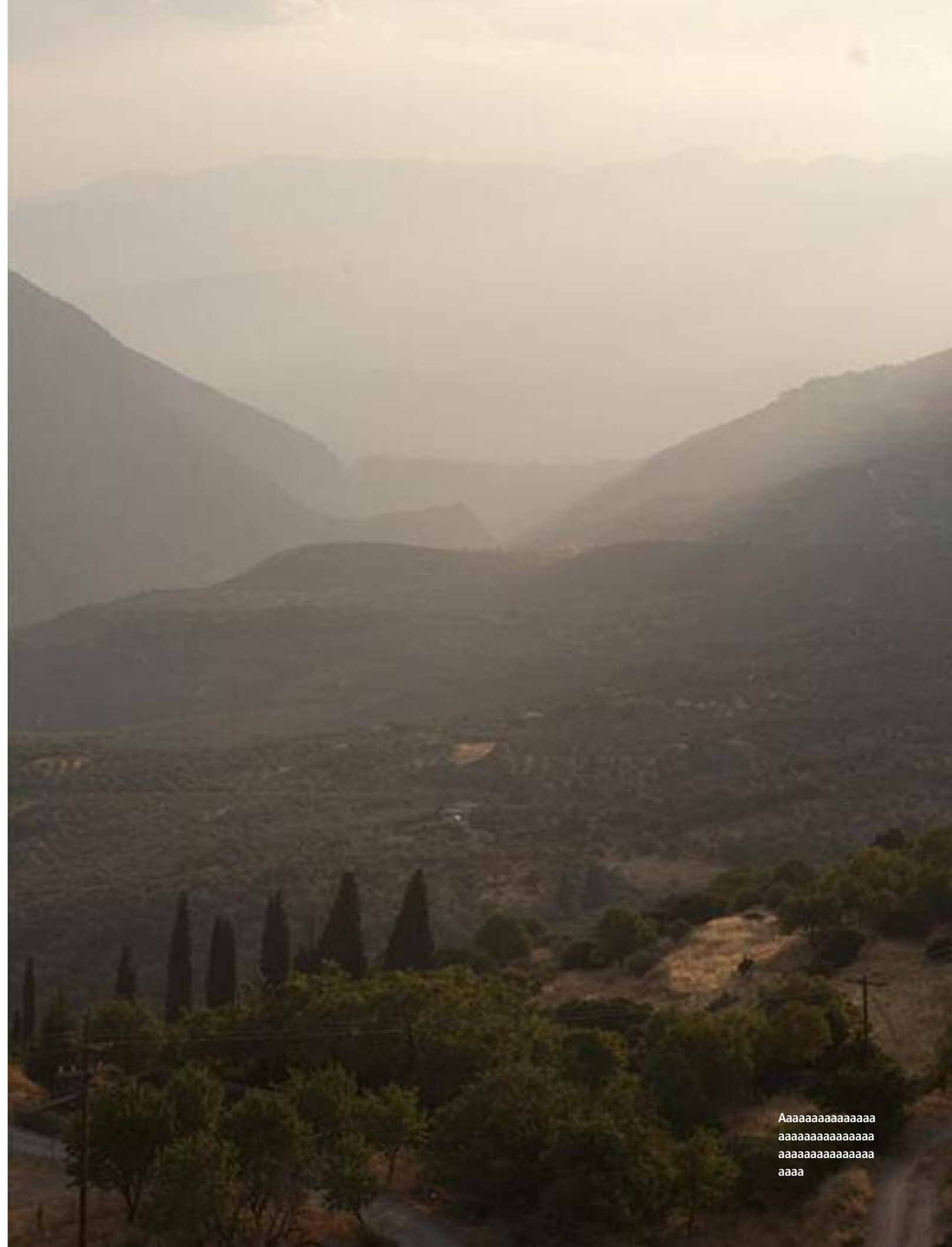
zrozumieliśmy, że najpewniejszym miejscem, gdzie możemy liczyć na znalezienie czegoś do jedzenia, jest lokal, który ma w nazwie coś, co przypomina karcznię. Mam na myśli tu oczywiście prowincję, w miastach bowiem szyld „restauracja” często odpowiadał profilowi działalności tego miejsca.

Pisząc o rowerach w Rumunii, nie sposób pominąć tematu psów. A właściwie wygłodniałych watah bezpańskich kundli, dostających szału na widok bezsilnikowego pojazdu dwukołowego. Wiele razy musieliśmy się salwować ucieczką przed wściekłe ujadającymi stadami. Doszło nawet do tego, że Joachim zaopatrzył się w solidny kij, trzymany pod ramą, którym odganiał co śmielsze czworonogi. Ewidentnie problem bezpańskich zwierząt jest tutaj zaniedbywany, kierowcy również zdają się nie przejmować ich obecnością. Także na poboczach dróg padlina jest zbyt częstym widokiem. Najbardziej komiczne (i dramatyczne) było przekraczanie granicy w Russe. Najpierw, w drodze do przejścia granicznego, uciekliśmy dwóm małym kundlom, co wprawiło nas w triumfalny nastrój. Nie na długo. Tuż przed budkami celników czekała już na nas zwarta grupa psów patriotów, najwyraźniej nieżycząca sobie naszego wyjazdu z ich ojczyzny. Dzięki sprytnym, wyćwiczonym przez ponad tydzień pobytu w tym kraju, manewrom udało nam się przemknąć do budek celników. – Już po wszystkim – pomyśleliśmy, gratulując sobie ujęcia z kolejnej przygody z życiem. Nic z tych rzeczy. Tuż za odprawą czekało to samo stado. Zrozumiawszy, że bezpowrotnie chcemy opuścić Rumunię, nie miało litości. Do Bułgarii wjechaliśmy z prędkością światła, a temat psów morderców nagle się skończył.

Bułgaria – awaria

Bułgaria powitała nas owocami, które można było zrywać, nie przerywając jazdy, pięknymi dziewczętami. Co najważniejsze – przestały nas ścigać wygłodniałe watahy psów. Wydawało się, że teraz będzie już tylko z górki. Niestety – górka okazała się być końcem podróży dla ▶

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaa



Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaa



Po ponad dwóch tygodniach i 1500 wspólnie przejechanych kilometrach zostaliśmy we dwójkę. Połowa drogi jeszcze przed nami...

Nieuznawana Macedonia

Do Macedonii wjechaliśmy gładko, chociaż przejście graniczne jest położone na solidnej górze. Celnik, widząc, jak moim szpiegowskim aparatem próbuję zrobić zdjęcie na granicy, zamachał gniewnie, krzycząc: – Go away! Go to Macedonia! Tak też zrobiliśmy, a w Macedonii... Raj na Ziemi! Najpierw 40 kilometrów (!) zjazdu, tak że już zaczynało się nam

nudzić. Potem nieprzyjaźni na pierwszy rzut oka panowie spod sklepu postawili nam piwo, a na koniec znaleźliśmy przepiękne miejsce na nocleg.

– Jesteśmy nieuznawanym narodem Europy – żalił mi się Dymitr.

– Jak to? – pytam.

– A tak to: Grecja odmawia nam prawdę do nazwy, Bułgarzy uważają, że jesteśmy tylko ich zbuntowanym regionem, a Albańczycy wkrótce nas podbiją, tworząc nową Wielką Albanię! – tłumaczył.

I trzeba przyznać, że sporo w tym racji. Grecy na wzmiankę o Macedończykach dostają apopleksji, a pół-

nocnego sąsiada każą nazywać FY-ROM. Bułgarzy patrzą na nich z góry, niczym na młodszego brata, uparcie nazywając ich Bułgarami, a Albańczycy nic nie mówią, tylko sukcesywnie zasiedlają zachód kraju, będąc tam już właściwie większością. Notabene w Macedonii jest o wiele więcej meczetów niż w Albanii. Nic to. Jest to kraj niezwykle przyjazny, a jego mieszkańcy bardzo sympatyczni i pomocni. Kolejna miła przygoda spotkała nas w Ochrydzie, gdzie poznaliśmy dwójkę Polaków, tak jak my przemierzających Europę na dwóch kółkach. Z tym, że

oni zmierzali do Afryki. Co najlepsze, jeden z nich miał taki sam rower jak mój – 13-letniego scorpio. A pamiętam, jak wiele lat temu, robiąc przegląd przed moją pierwszą wyprawą, serwisant powiedział, że „na tym, Panie, to daleko nie zajedziesz...”.

Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy. Wjeżdżamy do kraju, który będzie wyjątkiem od naszej prawosławnej trasy. Znowu pod górkę, do krainy tysiąca bunkrów!

Albania – kolejna awaria

Rzeczywiście, bunkry są pierwszym elementem krajobrazu, który rzu-

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaa

Joachima. Pamiętajcie, aby na wycieczce rowerowej mieć zawsze ze sobą kask i rękawiczki! A zamiast okularów załóżcie lepiej soczewki! Mój kolega oczywiście znał i stosował te zasady, ale akurat tego dnia mu się nie chciało...

Ruszyliśmy rano, mineliśmy cygański wóz i wysypisko śmieci, za którym rozpoczął się solidny zjazd. Jazda z prędkością 60 kilometrów na godzinę na rowerze to coś wspaniałego, ale jest szczególnie niebezpieczna. Na wysypanym piaskiem zakręcie rower Joachima wpadł w poślizg, a on sam wyleciał na jezdnię. Gdy go zobaczyłem, wyglądał strasznie. Krew lała mu się

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaa

komu nie jest łatwo zrezygnować z marzeń, przesunęliśmy problem... na potem. Joachim wsiadł do pociągu i pojechał do Sofii, gdzie miał podjąć ostateczną decyzję. Ja i Paweł wsiedliśmy na rowery i podążyliśmy w tym samym kierunku. Wieczorem dojechaliśmy do Wielkiego Tyrnowa – dawnej stolicy państwa bułgarskiego, gdzie w starej dzielnicy mieliśmy okazję obejrzeć niezapomniane przedstawienie światła – dźwięk. Pokaz zrobił rzeczywiście wspaniałe wrażenie, zwłaszcza że dla większego komfortu widzów część miasta, leżąca naprzeciwko podświetlanego wzgórza zamkowego, była wygaszana, a ruch uliczny zamierał.

Dalej były pot i łyż. Najdłuższy dotąd podjazd w mojej karierze cyklisty. 25 kilometrów non stop pod górkę (Stara Planina) okazało się na tyle frustrujące, że nie zaszczyciliśmy swoją uwagę słynnego na całą Bułgarię monumentu na przełęczy Szipka, upamiętniającego kluczową bitwę wojny rosyjsko-tureckiej (1877-1878).

Po trzech dniach męczących gór i dolin dojechaliśmy do Sofii, gdzie czekał już na nas Joachim, przebywający w gościnie u naszej koleżanki – Aurory i jej ojca Spartaka. Zdecydował się na powrót do Polski. My zarządziliśmy dwudniowy odpoczynek i zwiedzanie bułgarskiej stolicy, zwłaszcza że były to dni rekordowych, nawet jak na Bałkany, upałów.

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa

z głowy, okulary miał wbite w okolicę oka, skóra zdarta była na rękach i nogach. Masakra.

Całe szczęście, że szpital był w pobliskiej miejscowości Biała, gdzie udzielono nam szybkiej pomocy. Upadek okazał się niegroźny i nasz towarzysz pomaszerował do hotelu o własnych siłach, jednak wzbudził sporą sensację. Kolejny dzień spędziliśmy na zastanawianiu się, co dalej? Wszyscy czuliśmy, że jazda w tym stanie jest niemożliwa. Ponieważ ni-





ca się w oczy po przekroczeniu granicy. Ponoć jest ich ponad 500 tysięcy. Kolejna cecha charakterystyczna – wszechobecne mercedesy. Na weselach w górę strzelają kałasznikowy. Wszystko zgodnie ze stereotypami. Tylko droga coś za dobra... a miało być gorzej niż na Ukrainie. Postanowiliśmy zatem szukać prawdy. W mieście Elbasan zjechaliśmy z głównej trasy. Była to świadoma i, jak się później okazało, masochistyczna decyzja. Najpierw przez 20 kilometrów nie mogliśmy znaleźć miejsca na nocleg, ponieważ mieszkańcy tego uroczego kraju mają ciekawy zwyczaj zostawiania mnóstwa budynków w stanie surowym. Lub półsurowym, to jest pusty parter, zabudowane piętro i przezornie wystające z płaskiego dachu zbrojenia, aby w razie czego móc dobudować piętro dla rozrastającej się rodziny. W końcu Albańczycy to najbardziej płodny naród Europy.

Tak więc wyobraźcie sobie ciągnącą się w nieskończoność wioskę, w której co drugi dom jest nieukończony, a co trzeci stoi pusty. W końcu, nie widząc innego wyjścia, rozłożyliśmy się w jednym z takich pustostanów, mając nadzieję, że rano

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa
aaaa

nie obudzi nas wielki Ahmed z kałasznikowem. Nic takiego oczywiście się nie stało. Za to, o ironio, już kilkaset metrów dalej wioska kończyła się definitywnie, a wraz z nią cywilizacja. Cywilizacja, asfalt, bunkry, wszystko. Wjechaliśmy na jakiś dziwny step, a jedynym pojazdem, jaki minął nas na odcinku 30 kilometrów, była furmanka. Trudno opisać mękę jazdy ciężkim rowerem w palącym, południowym słońcu, po piaszczystej drodze, bez cienia ani łyka wody. Po kilku godzinach gehenny wjechaliśmy ni stąd, ni zowąd na ogromne pole naftowe, z setkami potwornie skrzypiących szybów, pamiętających jeszcze zapewne czasy króla Zogu. Wkrótce znaleźliśmy wodę i bezpieczną przystań na sjęstę w postaci potwornie brudnego nabrzeża jeszcze brudniejszej rzeki. Zdecydowanie najpaskudniejsze miejsce, w jakim odbywałem sjęstę, ale nie mieliśmy sił ruszyć się gdziekolwiek dalej.

Po kilkugodzinnym odpoczynku jechaliśmy dalej, zostawiając smrodliwe okolice w tyle. Kierunek: „miasto tysiąca okien” – Berat, a następnie „miasto białych murów”

– Gjirokastra. W jej okolicach rozbiłszy wieczorem namiot. W dniu moich urodzin obudziłem się, ze zdziwieniem konstatując, że spaliliśmy na kolejnym, dzikim wysypisku śmieci. Poranek nie wróżył nic dobrego, a dalej miało być tylko gorzej. Niedaleko granicy z Grecją doszło do stłuczki. Czy można zniszczyć rowerem mercedesa? Można. A co oznacza mercedes dla Albańczyka? Spróbujcie się domyślić. Zwłaszcza, jeśli jest to wielki, łysy, kąpiący złotem osobnik w dresie. A jak to się skończyło? Dla mojego portfela – fatalnie. Ale przeżyłem. Wymarzone urodziny.

Grecja – w oliwkowym gaju

Bystry czytelnik z pewnością domyśla się, że Shqipërië, jak nazywają swoją ojczyznę posiadacze mercedesów, opuściliśmy bez większego żalu. Przed nami nareszcie kolebka cywilizacji, turystyczna mekka, Grecja! Od razu poprawił się nam humor, aż do czasu wizyty w pierwszym sklepie. Od tej pory naszymi punktami zaopatrzeniowymi stały się poczciwe Lidle. Kiedyś nawet pewien jegomość, widząc nasze rumaki, zapytał, skąd jesteśmy, a słysząc

odpowiedź, ze współczuciem podarował nam mleko. Dalsze kontakty z ludnością były ograniczone aż do Aten, ze względu na barierę językową. Po drodze odwiedziliśmy Delfy, do których było oczywiście pod górkę. Przejechaliśmy największy sad oliwkowy w Europie. Cóż z tego, jeśli te potencjalne masy jedzenia były wciąż niedojrzałe. Wykąpaliśmy się w morzu z widokiem na przepiękny most Antirio koło Patras i po tygodniu byliśmy w Atenach. Niewiarygodne stało się faktem. Pokonując przeciwności losu i własne słabości, zdradliwe zakręty, dziury na drogach, brak dróg, wysokie góry i głębokie doliny, kilka przebitych opon i dwie pary wymienionych hamulców – po czterech tygodniach jazdy i niemalże równo 3000 kilometrów dotarliśmy do Aten.

Zostawiliśmy sobie zwiedzanie na potem, rozsiadając się w parku i popijając nektar bogów, kreśliliśmy na mapach całą trasę wycieczki. Zainteresowało to wielu ludzi, wśród nich dobrego Spyrosa, który zaoferował nam dach nad głową. Potem już tylko śmieszne 40 kilometrów na lotnisko... i wreszcie byliśmy w domu. ●



O uczestnikach wyprawy:

- **Jakub Rybicki** – fotograf, sowizdrzał, kolekcjoner mocnych przygód i dziwnych czapek, reporter, podróżnik. Rowerem zjeździł pół Europy i trochę Azji i ciągle mu mało.
- **Paweł Wicher** – rodem z Czeboksar przed Uralem. Nigdy przed podróżą do Aten nie przejechał rowerem więcej niż 20 kilometrów jednego dnia. Lubi militaria, bunkry i rosyjską

fantastykę. Nie lubi kruchych krówek jako źródła wszelkiego zła.

- **Joachim Ziemkiewicz** – fan Lecha Poznań, wina i dużej pizzy. Przed wszystkim poszukiwacz przygód, na przekór wszelkim przeszkodom. Nie ukończył wyprawy na skutek działania grawitacji, stając się żywym dowodem na użyteczność kasków.